

Pro homine

Zack ponownie spojrzął na ekran telewizora.

Dziesięć minut.

Dwa słupki pokazywały aktualny wynik głosowania. Zielony oscylował w okolicy siedemdziesięciu ośmiu procent. Nie było sensu się łudzić, że następne minuty odwrócą sytuację na korzyść. Trzeba było działać, ale na szczęście był na to przygotowany, choć obecne położenie jeszcze niedawno wydawało mu się absurdalne. Oczywiście chciał mieć dzieci, ale nie w taki sposób. To nie mogło być wynikiem jakiegoś cholernego audiotele.

Wstukał treść sms: „Chroń zielone”. Hasło uruchamiało przygotowany wcześniej plan awaryjny. Domyślał się, że jego mieszkanie jest obserwowane i niedługo po niego przyjdą.

Wyjrzał przez okno na ulicę. Cisza. Jeden obcy samochód, który od dwóch godzin stał zaparkowany na przeciwko. Przypadek? Nie warto ryzykować.

Dwie brudne krople po niedawnym deszczu spłynęły wolno po szybie, łącząc się w jedną. Wzdrygnął się. Nie dopuszczę do tego. – Odruchowo zacisnął pięści.

Pięć minut.

Trzykrotne stuknięcie do drzwi. To chłopcy z sąsiedztwa, dobrze, że można na nich polegać, nie wszyscy są przeciwko niemu. Wpuścił ich do środka; w przedpokoju, jak uzgodnili wcześniej, zamienili się ubraniami z Waltem, który przypominał go posturą.

Zack starając się naśladować Walta założył nonszalancko czapkę z daszkiem i wsadził ręce w kieszenie. Obecność młodzieńca w pokoju miała sugerować, że Zack czeka u siebie na ostateczny wynik. Łatwo będzie dostrzec zarys sylwetki w oświetlonym salonie przez zasłonięte jedynie firanką okno.

Zbiegli po schodach wraz z Mitchem, sypiąc wulgaryzmami i plwociną dookoła. Latarnia pod kamienicą nie świeciła się – wczorajszy celny rzut kamieniem był częścią planu awaryjnego. Jak widać, przydał się.

Minuta.

Skręcili w stronę parku, gdzie w taksówce miał czekać kuzyn chłopaków, Anthony. Zack odetchnął głęboko, gdy znalazł się w środku. Ucisnął w podziękowaniu dłoń Mitcha i zatrzasnął drzwiczki.

Ogłaszamy wyniki! – radośnie obwieścił spiker. – Osiemdziesiąt procent głosów na tak!... – Zack gwałtownie uderzył w przycisk, wyłączając radio.

– Jedźmy! – Ponaglił.

Tylko przez krótką chwilę jechali w milczeniu. Kierowca ubrany w czarno-czerwony pasiasty T-shirt, rodem z lat 60-tych ubiegłego wieku, przerzucił papierosa z prawego kącika ust do lewego.

– O co właściwie chodzi z tym dzieckiem? – Bez skrępowania wydmuchał dym prosto w twarz Zacka.

– O to. – Pasażer odsłonił przedramię, ukazując liczne zielone plamy na skórze. – Najwięcej mam na brzuchu i udach.

– Ożeż w mordę! – Skwitował po kolejnym dymku. – Co to, do cholery, jest?

– Mutacja somatyczna.

– Chłopie, a po ludzku? – Rozłożył ręce, na chwilę puszczając kierownicę. – Prościej do mnie gadaj.

– To znaczy taka, której nie odziedzyczyłem i nie przekażę dalej. Umrze razem ze mną.

– No tak, no tak – Kiwał głową Anthony. Zaświeciło się czerwone światło, samochód zatrzymał się na skrzyżowaniu. Nagle jakaś lampka zaświeciła się i w głowie mężczyzny.

– No to czekaj... Jak ty tego dalej nie przekażesz, to po co każą ci mieć dziecko?

– Zaraz ci wyjaśnię, ja też na początku nie rozumiałem, ale mi to setki razy tłumaczyli. Więc tak...

* * *

Ma'arth stała i patrzyła w ekran. W ciągu ostatnich trzech lat nauczyła się języka, ale nawet i bez tej wiedzy rozumiałaby przekaz. Zielony słupek był zdecydowanie wyższy od czerwonego. Oto zadecydowano o jej życiu, po raz kolejny ktoś pchnął ją ku przeznaczeniu, którego nie chciała. Fatum zaczęło się pięć lat temu. Niech będzie przeklęty ten biały człowiek, który przybył do jej wioski. Niech będą przeklęte jego oczy, które wypatrzyły ją w tłumie kobiet. Chociaż to akurat było łatwe, większą część jej ciała pokrywała zielona skóra, czern stanowiła jedynie rozsiane plamy, niczym archipelag różnorakiej wielkości wysepek.

Zaraz tu przyjdą. – Jeszcze raz rzuciła okiem na ekran. W telewizyjnym studio wszyscy byli uśmiechnięci, już rozpoczynała się debata mądrych głów. Będą rozmawiać o jej dziecku. Dziecku, którego chciała, ale nie tak, nie w ten niezależny od niej sposób.

Ojciec zrobił interes życia, oddając Ma'arth – zielone dziecko, którego pomimo siedemnastu lat nie udało się wydać za mąż. Nie było chętnych na dziwoląga, a tu najpierw zjawił się jakiś ważny biały człowiek, który zapłacił za parę kropli krwi, a po dwóch latach wykupił ją za całe stado kóz i owiec. Ojciec został najbogatszym człowiekiem w okolicy, jednocześnie pozbył się problemu, jakim była dorosła córka, której nikt nie chciał za żonę, a karmić trzeba było.

– Gratulacje! – Drzwi otworzyły się z hukiem. Jak zwykle bez pukania pojawili się John i Walter. – Zostaniesz matką! – uniósł do góry kieliszek z szampanem pierwszy z naukowców.

– Matką, która zapisze się w historii ewolucji! – Zawtórował mu uśmiechnięty Walter.

Ma'arth popatrzyła na nich zimnym wzrokiem. Może i była głupia, może pochodziła z dzikiej afrykańskiej ziemi, ale jedno rozumiała. Sama w sobie nic dla nich nie znaczyła. Liczyła się tylko jej zielona skóra i dziecko, które miała urodzić, które miało dostać od niej to, czego przez całe życie się wstydziła. W wiosce nazywano ją *Guantre*, co znaczy roślina, przez ten zielony kolor skóry. W sumie niewiele rozmijało się to z prawdą. Była częściowo jak roślina. Tak przynajmniej jej tłumaczono tę anomalię, miesiącami pobierając krew i robiąc masę przeróżnych dziwacznych badań.

– Nie martw się. – John wykonał gest, jakby chciał ją poklepać po plecach, ale w ostatnim momencie jego dłoń zawisła w powietrzu. – Wszystko obejdzie się bez zbliżenia – Walter wykonał obsceniczny gest, tworząc z dwóch palców lewej ręki okrąg, to wsuwając, to wysuwając z niego środkowy prawy palec. John zarżał i upił kolejny łyk.

– Ja... nie... chcę... – Tysięczny raz zaprotestowała młoda kobieta.

– Tłumaczyliśmy ci tyle razy. – Naukowiec odstawił alkohol. – Wyciągniemy tylko kilka jajeczek, dostarczymy plemnik od Zacka, a potem umieścimy, o tu! – Dźgnął ją palcem w brzuch. Urodzisz dziecko, a my się już nim zajmujemy.

– Do końca życia będziesz miała zapewniony byt, zrobisz potem, co zechcesz. Już jest wiele chętnych zastępczych matek na kolejne twoje jajeczka – Przekonywał bez cienia empatii drugi, już nieco podchmielony mężczyzna.

– Ja nie chcę, żeby zabrać mi dziecko, ja chcę wychować. – Błagała Ma'arth, chociaż wiedziała, że już od dawna nie decyduje o swoim życiu. Kilka razy spotkała się z ojcem przyszłego dziecka. Na szczęście ten wielki biały człowiek podzielał jej zdanie w kwestii potomstwa. On, w przeciwieństwie do niej, mógł zakryć chore fragmenty skóry, twarz miał niezmienną. Kiedy ją zobaczył, skrzywił się. Ona pewnie również, chociaż słabo pamięta to pierwsze spotkanie. Zack, bo tak się nazywa ten obcy, powiedział kategorycznie „Nie!” i pierwotny plan, żeby ich związać małżeństwem, spalił na panewce.

Ma'arth chciała dziecka, ale nie dla niej to życie w luksusie, a tak naprawdę w nowoczesnym więzieniu. Chciała jakiegoś czarnego mężczyzny, który by stanął w konkury i wziął ją za żonę według tradycji.

Splodziliby masę dzieci, jej biodra były szerokie, piersi wielkie, gotowa była wydać całą gromadkę na świat. Ale to co chcieli zrobić ci źli biali ludzie, to nie po Bożemu. A jednak dziś świat zdecydował. Za nią, za Zacka. Wszystko to podobno w imię ludzkości. Przez to jedno zniechęcone przez nią słowo. Chlorofil.

* * *

– ... mój organizm produkuje zamiast zwykłej melaniny, czyli takiego barwnika skóry, również chlorofil, czyli...

– Wiem, co to jest chlorofil. – Zaperzył się kierowca. – Dawaj dalej.

– Ale mutacja ta nie przechodzi na plemniki, czyli nie przekażę jej potomstwu. Niestety, aktualnie jest już możliwe zmodyfikowanie genomu plemnika.

– Genom, srenom; prościej, człowieku. – Puścił dymka Anthony, ścinając zakręt.

– Jednym słowem wbudują ten zmutowany gen do plemnika u mnie i do komórki jajowej Ma'arth.

– Tej zielonej czarnuli?

– Tak, jej. Więc dziecko będzie miało dwa geny po rodzicach, czyli wyprodukuje chlorofil w każdej komórce skóry.

– To jeden nie wystarczy?

– Słuszne pytanie – pochwalił Zack. Anthony przyjął to pochlebstwo dumnym chrząknięciem i wypięciem klatki piersiowej.

– Więc jeden nie wystarczy – kontynuował zbieg. – Ponieważ jest to gen recesywny.

– Ja pierrr... kardę. – Anthony uderzył pięścią w kierownicę. – Prościej, chłopie, prościej.

– Recesywny, to znaczy nie ujawni się, jeśli będzie pojedynczy, bo przytłumi go gen dominujący. – Widząc spojrzenie kierowcy, Zack wyjaśniał dalej. – Wyobraź sobie kolor biały – to jest gen recesywny. Każdy inny kolor zmieszany z białym spowoduje inną barwę, bo będzie dominujący, więc żeby ujawniła się barwa biała, to do białej trzeba dodać...

– No, biały, kurczaki! – Wydedukował sprytnie rozmówca.

– Tak jest. Dwa nasze recesywne geny spowodują, że dziecko będzie całkowicie zielone, będzie produkowało bardzo duże ilości chlorofilu, będzie...

– Jak roślina – dokończył prostolinijnie Anthony.

– Tak, jak ludzka roślina. Ale żeby przekazać tę mutację dalej, naukowcy usuną inne allele... – Kolejne spojrzenie z byka. – Po prostu usuną miejsca dla genów dominujących. Co w kolejnych pokoleniach spowoduje, że gen sam w sobie będzie dominującym.

– Czyli biały rządzi?

– Widzę, że wszystko zrozumiałeś. Ale zaraz, zaraz. My chyba źle jedziemy, Anthony...

Samochód zatrzymał się w ślepej uliczce, a za nim granatowy bus, blokując drogę odwrotu.

– Zdradziłeś mnie? – Nie mógł uwierzyć Zack.

– Chłopie, dawali ci miliony za bzyknięcie jakiejś czarnulki, a ty głupi nie skorzystałeś. Mi zapłacili mniej, jak im obiecałem, że cię podrzucę bez awantur. Profesjonalnie. Trzeba mieć nosa do interesów, ja do ciebie nic nie mam, ale pieniędzy, to jest pieniądze. A to ty masz zostać bohaterem ludzkości. Ja zasłynę tylko jako twój kierowca. Żegnaj, kurs gratis.

– Anthony, jak mogłeś!... Anthony! – Delikatne uklucie w ramię i ciemna kotara opadła przed oczami Zacka.

* * *

– Drogie dzieci. Na dzisiejszych zajęciach będziemy kontynuować temat ewolucji. Otóż jak już mówiłam

ostatnio, *homo sapiens* dzieliło się na trzy rasy. – Na ekranie pojawił się człowiek biały, żółty i czarny. – Choć wtedy negowano pojęcia rasy ludzkiej, uważając, że jest tylko jeden rodzaj człowieka.

– Jacy oni śmieszni! Patrz, cały biały. A tamten czarny, hi, hi, hi! – rozlegały się głosy uczniów.

– Dobrze, już dobrze. Tak kiedyś wyglądali ludzie. Ale... – kobieta zawiesiła głos. – Trzy tysiące lat temu nastąpił przełomowy moment ewolucji. Pojawiła się nowa rasa, jedyna dzisiejsza, *homo sapiens chlorofilus*. W przeciwieństwie do poprzednich zmian tutaj możemy podać dokładną datę w historii ewolucji. Doniosłość tej chwili była o tyle bardziej istotna, że po raz pierwszy to człowiek sam zdecydował o momencie i kierunku ewolucji.

Na ekranie ukazał się wysoki biały człowiek z widocznymi zielonymi plamami na odsłoniętym torsie i niższa od niego o trzy głowy murzynka, której ciało w znacznej mierze pokrywała zielona skóra. Stali uśmiechnięci, trzymając się za ręce.

– Niestety, nie możecie zobaczyć tego obrazu w pełnym hologramie w waszych domach, a jedynie jako dwuwymiarową planszę, technika wtedy była w powijakach.

Chichoty.

– To praojciec i pramatka pierwszego człowieka naszej rasy. Postanowili połączyć swoje geny, dzięki czemu ich zmutowane allele utworzyły gen CHFL1, zwany popularnie *chlorofilus*. Jeszcze raz podkreślę – po raz pierwszy człowiek zdecydował, w którą stronę ma iść ewolucja. Ten wybór uniezależnił nas od pokarmów, które dawny człowiek musiał spożywać, aby egzystować. To był przymus, nie wybór, jak dziś.

Kolejne chichoty.

– W ten sposób człowiek zabrał roślinom monopol na fotosyntezę. Śmierć głodowa odeszła w zapomnienie, można było zamknąć wiele fabryk, uzyskując stopniową poprawę jakości powietrza, ziemi i wód.

Na ekranie ukazał się mężczyzna o zielonej skórze.

– A to pierwszy osobnik nowej rasy. Owoc świadomego wyboru naszych protoplastów. W imię ludzkości, dla dobra człowieka.

Nauczycielka nie przekazała dzieciom kilku „nieistotnych” informacji. Ani na temat zdjęcia, które zostało spreparowane, gdyż nigdy nie doszło do najmniejszego kontaktu fizycznego pomiędzy Zackiem a Ma’arth’ą, ani o debatach i zamieszkach, ciągnących się przez lata. O falach protestów religijnych i lobbystów przemysłu spożywczego oraz rolników. O prawie jednostki do własnego zdania i podejmowania decyzji, które zostało złamane pierwszym ogólnoswiatowym referendum online. Wybrano nową drogę, stworzono człowieka ze zdolnością do fotosyntezy, „produkując” go pomimo sprzeciwu dawców genów.

Nauczycielka nie przekazała tego dzieciom, ponieważ sama nie posiadała takiej wiedzy.

W zakresie nauczania temat dzisiejszej lekcji biologii brzmiał: „Ewolucja – zmiana dla człowieka”.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Carvedilol, dodano 15.08.2018 10:44

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.